

ISSN 1505-8476

informator



nr 175
grudzień 2003
i 1 stycznia 2004

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

NORDCON 2003 - obiecana relacja



"POWRÓT KRÓLA" - pierwsze recenzje

RLS

Jesienią w komercyjnej telewizji obejrzałam sobie dwie ekranizacje najsłynniejszych powieści Roberta Louisa Stevensona: *Dr Jekyll i Mr Hyde* oraz *Wyspa skarbów*. Pierwszy z tych filmów to już klasyka (Spencer Tracy z Ingrid Bergman – sprzed *Casablanki!*), druga adaptacja była chyba najnowsza (Oliver Reed, Christopher Lee, Charlton Heston, chłopak z *Imperium Słońca*). Oba filmy były jednak całkiem udane; a ja pomyślałam sobie życzliwie o ich Autorze...

Robert Louis Stevenson to jeden z tych mistrzów literatury popularnej, którzy otarli się o literaturę wielką, jeden z tych dawnych pisarzy, którzy odczytywani są do dziś. Zawdzięczać to może przede wszystkim dwóm wymienionym tu powieściom.

Dr Jekyll i Mr Hyde nie odkrywa prawd szokujących dla dzisiejszego czytelnika. Wiemy dobrze, że w każdym z nas tkwi zarówno dobro, jak i zło: Freud zdążył się już wręcz zbanalizować (że o przykładach zbrodniarzy wojennych będących wzorowymi ojcami rodzin nie wspomnę). Ale skoro dualistyczna wizja RLS robi wrażenie do dziś – jakże musiała szokować w latach swego powstania! Ow szok nawet nieźle oddaje, pokryta sporą warstwą patyny, wersja z Bergman i Tracy'm. Poza tym – to bardzo dobrze napisana powieść. Gdy ją po raz pierwszy czytałem – znałem przecież jej założenie fabularne (z kilku różnych ekranizacji; poza tym to już archetyp!). A jednak wciągnęła mnie. Dochodzenie do rozwiązania zagadki jest tak zgrabnie poprowadzone, że frapuje nawet czytelnika znającego pointę. Frapująca jest też postać Mr Hyde'a: nie jest on bynajmniej naszkicowany grubą krechą, zło czające się w nim jest przerażające, ale (co robi największe wrażenie!) nieokreślone. Tę subtelność zagubiła większość hollywoodzkich adaptacji – doktor Jekyll jest w nich słodki do porzygania, jako mister Hyde zaś zamienia się w upiora-małpoluda. Akurat we wspomnianej tu ramotce realizatorzy zachowali szlachetny umiar: Jekyll jest ukazany jako człowiek z krwi i kości, zaś postać Hyde'a Spencer Tracy buduje przede wszystkim środkami aktorskimi.

W dzieciństwie *Wyspa skarbów* raczej mnie nudziła. Jej fabuła wydawała mi się nijaka w porównaniu z powieściami np. Karola Maya (gdzie działały się istne cuda). Zupełnie przypadkiem przeczytałem ją powtórnie – i doceniłem! – jakoś tak pod koniec liceum lub na początku studiów. Co mnie zafrapowało? Dwie rzeczy. Po pierwsze – urokliwy klimat (pysznie zarysowane postacie piratów etc.). Po drugie – rzetelna konstrukcja fabuły (tu nie ma sytuacji, że dwóch gierojów wchodzi i rozpieprza całe plemię: nawet kilku uzbrojonych opryszków to realne zagrożenie, a kule z muszkietów ranią naprawdę). Wspomniany film sporo z tego oddał na ekranie (a Christophera Lee jako Ślepego Pew „rozpoznałem” dopiero... odczytując napisy końcowe!).

Jasne, że nie cała spuścizna literacka RLS jest strawna do dzisiaj. Taka np. *Katriona* (ciąg dalszy *Porwanego za młodu*) – to nudziarstwo nie do przebrnięcia. Ale nie czepiamy się: „za komuny”, gdy jedynymi powieściami Alistaira McLeana do których dotarłem były *48 godzin*, *Noc bez brzasku* i *Lalka na łańcuchu* – ten autor wydawał się absolutnym mistrzem fabuły; dopiero wolny rynek i przetłumaczenie całego jego dorobku uświadomiły, na jakimż „nawozie” wyrosły te jego nieliczne perełki.

A za pointę tego wstępniaka niech posłuży przypomnienie, że najlepsze utwory Roberta Louisa Stevensona zafrapowały pisarzy nam współczesnych, którzy oddali im swoisty hołd pisząc powieści „uzupełniające” oba te światy (myślę tu rzecz jasna o *Mary Reilly* i o *Przygodach Bena Gunna*).

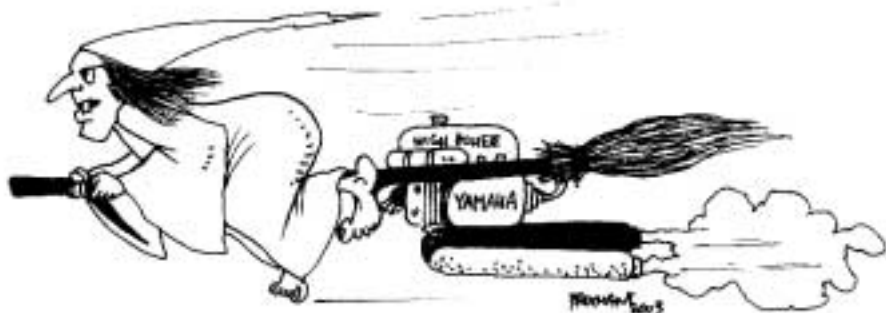
JPP

P.S. Innym klasycznym mistrzem, któremu należałby się podobny „monowstępnik”, jest Mark Twain: jeden z ojców literatury amerykańskiej – u nas absurdalnie postrzegany jako pisarz dla dzieci – autor uroczych grotesek oraz przepysznych *Przygód Hucka*.

URODZINY

Każdemu z lutowych Jubilatów
 życzymy z okazji ich święta
 po % * zysków z dystrybucji
 kinowej „Powrotu króla”
 (a jeśli te życzenia się spełnią - to prosimy,
 pamiętajcie o nas)
 - redaktorzy „Informatora”

- | | |
|--------------------------|--------------------------|
| 1 Andrzej Łuczyński | 16 Joanna Ejsmont |
| 2 Szymon Jankowski | Lesław Olczak |
| Marek Michowski | 19 Magdalena Kaczmarczyk |
| 3 Paweł Arczewski | Jarosław Pawłowski |
| Jakub Dysarz | 21 Kamila Pozańska |
| 4 Jacek Nojkampf | 24 Dariusz Szymański |
| Andrzej Puzkiewicz | 25 Krzysztof Filipowicz |
| 6 Michał Gronowski | Urszula Lisowska |
| 10 Justyna Damięcka | Andrzej Młynarz |
| Mieczysław Sierociński | 26 Rafał Tyszecki |
| 12 Przemysław Baranowski | 27 Paweł Kozik |
| Mateusz Józefowicz | 28 Lucyna Borycka |
| Wojciech Szomburg | Natalia Młynarz |
| Marcin Zajdel | Andrzej Prószyński |
| 13 Robert Szewczyk | |



GRUDNIOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU GKF i RADY STOWARZYSZENIA

Odbyło się w dniu 20 grudnia 2003 r. Ważniejsze z poruszanych spraw:

I. SPRAWY ORGANIZACYJNE

Michał Szklarski przedstawił projekt zmian w statucie GKF. Zmiany będą głosowane na posiedzeniu Zarządu GKF i Rady Stowarzyszenia w dniu 17 stycznia 2004 r. Ostateczne zmiany w statucie mają być uchwalone na Nadzwyczajnym Walnym Zebraniu w dniu 18 stycznia.

II. SPRAWY PERSONALNE

1. Zmiany funkcyjne

- z uwagi na dłuższy brak jakiegokolwiek kontaktu, Zarząd GKF zwolnił Jacka Magadzio z funkcji szefa Działu Bibliotecznego przy jednym głosie wstrzymującym,
- Radosław Łagan został mianowany cz.p.o. szefa Działu Bibliotecznego,
- Magda Koreń została mianowana zastępcą szefa Działu Bibliotecznego,
- Michał Kozina ogłosił swoją rezygnację ze stanowiska sekretarza Zarządu GKF. Funkcję tę będzie jeszcze pełnił do następnego posiedzenia Zarządu GKF.

2. Zakończenie stażu kandydackiego:

Brethren – Jaśmina Kotlarek;

Snot – Sebastian Goertz.

3. Przyjęcia nowych kandydatów na członków GKF:

Angmar – Dariusz Czajkiewicz,

Brethren – Lech Ugriczic (powrót syna marnotrawnego).

4. Skreślenia z listy członków za niewydolność składkową w III kwartale:

Brethren – Karol Grabowski;

Snot – Jacek Magadzio, Sebastian Gęza, Krzysztof Nowak, Michał Dąbrowski, Leszek Łapiński, Kacper Graczyk.

5. Urlopy

First Generation – Arkadiusz Stankiewicz (I-II kw. 2004 r.)

Brethren – Maciej Bulanda (I kw. 2004 r.)

III. SPRAWY FINANSOWE

1. Skarbnik GKF Bogusław Gwozdecki przedstawił rozliczenie Nordconu 2003.

2. Prezes GKF omówił składkowość za IV kw. 2003 r.

3. Prezes GKF przedstawił stan subkont poszczególnych KLów.

4. Zarząd GKF zatwierdził wysokość składek za I i II kw. 2004 r. w niezmięnionej wysokości w porównaniu do 2003 r przy 1 głosie wstrzymującym.

5. Zarząd GKF przegłosował przy 1 głosie przeciwnym podwyższenie składek rocznych KS-ów z 28 do 30 zł.



O Nordconie 2003 słów kilka

Gdy na pierwszym roku studiów zakładaliśmy w Poznaniu Klub Fantastyki „Druga Era”, stuknęło mi właśnie dziewiętnaście lat. W rok później po raz pierwszy wyprawilem się na Nordcon. Czas leci jak szalony – przed miesiącem uczestniczyłem w nim po raz piąty. I rok w rok na ten organizowany przez GKF konwent czekam z utęsknieniem, odliczam tygodnie, później dni do tradycyjnej już grudniowej wyprawy nad morze. Właściwie każdy zjazd fantastów ma swój klimat i jest jakoś tam niepowtarzalny. W Nordconie jednakże ujmuje mnie ta niespotykana nigdzie indziej atmosfera szczególnego braterstwa i przyjaźni, a także specyficzna pomysłowość zarówno organizatorów, jak i uczestników.



Nordcon 2003 był siedemnastym z kolei. Ku rozpaczy niektórych bywalców nie odbył się tym razem w kultowym w środowisku ośrodku „Hutnik” w Jastrzębiej Górze, z powodu remontu tegoż. GKF posunął się tym razem wyjątkowo daleko. Co roku obiecywali, że w „Hutniku” właśnie wymieniane są okna – teraz zaś stworzyli nawet daleko idące pozory, iż dzieje się to w istocie. Poczekamy do grudnia, zobaczymy (poczujemy właściwie). Co bardziej stęsknieni za „Hutnikiem” mogli przynajmniej popatrzeć na niego z okien, bądź wybrać się na krótki spacer. Z ośrodka „Jurysta” bowiem – gdzie Nordcon 2003 się odbył – do nostalgicznego gmachu było dosłownie kilka kroków. Jeśli o mnie chodzi, swoim zwyczajem przez cały konwent nie wyszedłem z budynku, czego zwykle żałuję, nigdy jednak nie mogłem znaleźć wolnej chwili. Z jednym wyjątkiem Nordconu 1999, kiedy to zniknąłem na 24 godziny, by zdać w Poznaniu egzamin z angielskiego, ale to zupełnie inna historia.

Czytelników „Informatora” nie muszę pouczać, że Nordcon ma to do siebie, iż zwykle odbywa się w określonej konwencji. Tym razem cofnęliśmy się w czasie o 80 lat – w epokę prohibicji, rządów Ala Capone i prozy spod znaku Lovecrafta i Wellsa. Przyznać muszę, że tematyka prohibicyjno-mafijna dominowała, co napawa lekkim żalem, można bowiem było zwłaszcza wątki lovecraftowskie wykorzystać ciekawiej. Chwała więc tym, którzy nie pozwolili Wielkiemu Kryzysowi zdominować Nordconu – a na myśli mam głównie twórców konwentowego znaczka z gustownym dziełem graficznym oraz, prowadzący bardzo klimatyczną Necronomicon Cafe w podziemiach „Jurysty”, jeden z bardziej specyficznych polskich klubów – KF „Ingłot” mianowicie.

Zwyczajowy pośpieszny do Gdyni o 6.15 wywiózł z Poznania bardzo skąpą grupę reprezentantów „Drugiej Ery”. Na miejscu zameldowaliśmy się wczesnym popołudniem, zastając „Jurystę” jeszcze średnio wypełnionego, acz rozbrzmiewającego radosnymi okrzykami to powitań dawno niewidzianych znajomych, to już przejawów rozpoczętej konwentowej zabawy. Cóż, nie da się ukryć, że jest Nordcon najbardziej „integracyjnym”, no dobrze – niech będzie, alkoholowym, konwentem w Polsce, na co niektórzy lubią narzekać.

Mnie to jednak nigdy szczególnie nie przeszkadzało.

„Jurysta” miał być ośrodkiem zbliżonym standardem i wyglądem do „Hutnika” – z po-inięciem oczywiście basenu, co wszyscy głęboko przeżywali. I podobieństwo generalnie było, choć łazienki w pokojach były zdecydowanie lepsze, a obsługa w barze



zdecydowanie gorsza. Niejeden wdychał tęsknie za „Piekiełkiem” i Panią Bożenką. Za to labirynty korytarzy przywoziły na myśl Nadole. Przejście z części mieszkalnej do części programowej było prawdziwą wyprawą.

Jak lata dwudzieste to dwudzieste. Informator konwentowy miał formę bardzo nietrwałą i średnio wygodną w użyciu, acz arcyciekawą. „The Jurysta Daily” – gazeta (tak! Były trzy numery!) w formie A4 to strzał w dziesiątkę. Jak przed rokiem z miejsca siadłem rozwiązać krzyżówkę, co pozwoliło pierwszymi dwoma piwami nordconowymi raczyć się za darmo w ramach nagrody. Następnie przyjrzałem się planowi ośrodka, licząc na pomysłowość organizatorów, przejawiającą się tradycyjnie w nazewnictwie miejsc dziania się poszczególnych części imprezy. I nie zawiodłem się – była Garkuchnia Armii Zbawienia, Muzeum Wojny Secesyjnej, sale wykładowe Uniwersytetu Miscatonic, Kino Paramount, Cotton Club wreszcie, gdzie można było spotkać zdecydowanie najwięcej osób.



Niepokój mój wzbudziła nieobecność kilku wcześniej zapowiadanych gości – Giena Dębskiego, Andrzeja Pilipiuka i Roberta Szmida. W zaistniałej sytuacji lista gwiazd programu publicystycznego ograniczyła się do Ani Brzezińskiej, Jacka Dukaja, Maćka Parowskiego, Konrada Lewandowskiego i Jacka Ingłota. Pojawiła się jeszcze nieuwzględniona w programie Antonina Liedtke. Pierwsze co rzuciło się w oczy na spotkaniach, to niewielka frekwencja, co niestety staje się powoli tradycją. Wszystkie spotkania jednakże, na które dotarłem, wyrastały sporo ponad konwentową średnią, było i czego słuchać, i o czym długo dyskutować.

A zaczął w czwartek kolega Michał Szklarski (przyszły nomen omen jurysta) prelekcją o seryjnych mordercach, do której nie dość że się fachowo przygotował, to jeszcze rozdał wszystkim poręczne konspekty. Następnie odbył się odczyt Andrzeja Puszkiewiczza o czechosłowackich filmach fantastycznych. Żałuję strasznie, że dotrzeć nie mogłem, gdyż południowi nasi sąsiedzi i ich kultura zawsze wyzwały we mnie ciepłe uczucia (może wersja papierowa prelekcji w „Informatorze” na przykład?). Wreszcie Jacek Ingłot starał się wytłumaczyć, dlaczego pisać fantastykę w ogóle zaczął i dlaczego następnie skończył. Biadolił więc po swojemu na temat rynku i czytelników. Ale jest nadzieja dla fanów prozy Jacka. Gdy (z pełną szczerością) powiedziałem, że naprawdę lubię jego twórczość i chciałbym (i pewnie nie tylko ja) coś nowego przeczytać, usłyszałem w odpowiedzi: „Bronhard, zbierzecie dziesięć tysięcy podpisów, to coś napiszę”. Należy więc rozpocząć akcję. Program zakończył konkurs kalamburów, składający się z tytułów filmów nie tylko fantastycznych, acz w klimacie. Spróbujcie pokazać „Chicago” albo „Drogę do zatracenia”. Spontanicznie dołączyłem do jednej osłabionej ekipy i nawet skończyliśmy na podium.



Czwartkowym wieczorem została wprowadzona prohibicja, szybko jednak odwołana, chyba z powodu przerażenia władz miasta demonstracją. Tłum uczestników pociągając w dziwny sposób raz i drugi z papierowych torebek wznosił gniewne okrzyki i obwieszony był tabliczkami w rodzaju „Burmistrza do piachu”, „Mazurowski do morza”, „Człowiek nie wielbłąd” i „Ale o co chodzi?”. Marek Sokólski niosąc tą ostatnią starą się wyrazem twarzy dokładnie odzwierciedlać treść napisu.

W piątek zjawił się Wojtek Sedeńko przynosząc wiadomość o katastrofie rządowego śmigłowca. Kilku członków „Ubika” z miejsca podchwyciło temat, chodząc po ośrodku i śpiewając ułożoną na poczekaniu przyspiewkę „Nie ma Millera, bo wypadł z helikoptera” na melodię piosenek stadionowych. Na spotkanie z Wojtkiem udać się nie mogłem, gdyż ostrzyłem zęby na udział w „Jednym z Dziesięciu”, prowadzonym z wielką kulturą („A teraz pytanie do Pana Conana. Panie Conanie, jak się nazywał...”) przez Piotra Mazurowskiego. Konkurs okazał się tak naprawdę „Dwoma z dziesięciu”, jednego bowiem uczestnika zabrakło, z powodu zaś wyczerpania pytań zwycięzców było dwóch – Sławek Graczyk oraz niżej podpisany.

Spotkanie autorskie z Dukajem było oczywiście więcej niż znakomite. Szkoda tylko, że większość audytorium nie czytała jeszcze „Innych pieśni” i nie mogłem głośno wypytywać się o konkretne szczegóły. Jacek potwierdził smutną dla fanów wiadomość, że następna książka dopiero jesienią (on przecież tyle pisze, że w takim tempie nigdy wszystkiego nie wyda – nie dałoby się jakoś zmienić kontraktu z Literackim?). Po przedstawieniu przez Przewodasa polskiej wizji nanotechnologii odbył się panel o trylogii „Matrix” z udziałem Parowskiego i Dukaja. Wszyscy w miarę zgodnie starali się bronić części drugiej i mieszać z błotem trzecią, a moich sugestii, że powinno być odwrotnie, nikt nie chciał słuchać. A nadal uważam, że drugiej broni się głównie dlatego, że nie jest ostatnia i człowiek myśli, że coś się jeszcze wydarzy.

Tradycyjnie już (po raz trzeci) prowadzony przez Bożenkę Borek słupski teatr młodzieżowy „Żaluzja” wystawił przedstawienie. Tym razem dokładnie w 102. rocznicę urodzin Walta Disneya obejrzelśmy adaptację „Animowania” – utworu Waldemara Łysiaka o tym twórcy opowiadającego. Kto nie był, ma czego żałować. Mam nadzieję, że występ „Żaluzji” już co roku będzie stałym punktem Nordconu. Następny był panel o kobietach w fantastyce i fantastyce tworzonej przez kobiety. Zaszedłem tylko na chwilę, wysłuchując głównych dyskutantów – Ani Brzezińskiej i Maćka Parowskiego. Nieco wcześniej zaś odbył się w Cotton Clubie sąd mafijny (oczywiście z betonowymi butami). Polecam zdjęcia do obejrzenia na sieci. A wieczór i noc upłynęły jak zwykle na rozmowach, tańcach i popijaniu tego czy tamtego do białego niemal rana.

W sobotę można było udać się na spotkania z Przewodasem i Anią Brzezińską, moją głowę zaprzętała jednak kwestia nagrody fanzinów. Już po raz trzeci redakcja polskich pism amatorskich radziła, debatowała i głosowała, komu też przyznać nagrodę za najlepszy fanzinowy tekst w minionym roku. Rozrzut był duży, nominowano aż dziesięć tekstów. Artur Panek stanął na wysokości zadania podtrzymania profilu działalności „NaCzelnych” i nominował cykl „Urodziny” z „Informatora”, zapowiadając za rok „Sprawy klubowe” bądź też „Nowości w bibliotece”. Ostatecznie nagrodę otrzymał mój klubowy kolega Wojtek Grygorowicz za opowiadanie „Romani sumus” z 12. numeru „Innych Planet”. Sfinalizowany został w końcu pomysł statuetki dla nagrody i wręczono trzy – tak dla Wojtka, jak i dla poprzednich laureatów – Jacka Dukaja i Darka Grupy. Do kapituły nagrody dołączył częstochowski „Samhain”.

Po obradach zaginał gdzieś Szklarski-filolog i Szklarski-jurysta wysłał mnie za stół do prowadzenia spotkania z redakcją „NF” w osobie Parowskiego. Słuchaczy było niewielu, wszyscy jednak pytali z grubszą o to samo – dlaczego nie ma Jęczmika, jak



daleko pójść zmiany w piśmie i czy ktoś się Maćkowi wtrąca do działu prozy polskiej. Wyczuwało się generalnie zaniepokojenie zmianami, a fakt poproszenia autora „Nowego średniowiecza” o odejście, gdyż mać w głowie młodzieży, przyjęto z niesmakiem. Wreszcie Dukaj, Parowski i Ingłot starali się przewidzieć, co z polską fantastyką będzie za lat dwadzieścia. Ingłot oczywiście mówił, że nic już w ogóle nie będzie, Parowski zaś posunął się do wróżenia Dukajowi i Nobla. Konkurs Marka Michowskiego i Piotra Cholewy „Literatura Złotego Wieku” okazał się iście morderczy, a dotyczył głównie utworów wydanych przed rokiem 1955.



Na wysokim poziomie stał tradycyjny konkurs strojów. Mocno ścisnąłem kciuki za mojego corocznego faworyta Maćka Bałasza, przebranego za dziewczynkę z (między innymi) zapalkami. Maciek wygrał, choć groźnych konkurentów miał – znów polecam zdjęcia, zwłaszcza proszę zwrócić uwagę na trzyosobową rewię mody męskiej.

Tuż przed zakończeniem kupiłem jeszcze dwa losy w zwyczajowej loterii i zaniemówiłem ze szczęścia. Pierwszy dał mi przepustkę do finału, drugi zaś przyniósł „Smoka w mieczu” Moorcocka! Tak, wreszcie „Smok w mieczu”! Po pięciu latach prób! Teraz już chyba tę książkę mają naprawdę wszyscy bywalcy Nordconów.

Podczas zakończenia wręczono nagrody i zakończono loterię. I oto szczęścia ciąg dalszy – na Nordcon 2004 pojadę bez akredytacji! A to dzięki „Nudzie Pierścienia”, w którym to dziele Burmistrz Mazurowski ukrył szczęśliwy los. Po zakończeniu zaś szybko przebranie w piżamy i znów zabawa do rana. Artur Panek wręczył mi w prezencie urodzinowym płytę z piosenkami Fasolek, przy której zabawa w strojach nocnych wyglądała szczególnie zjawiskowo. Przed wejściem do Cotton Clubu odbywało się (też powoli już tradycyjne) Kciuk Party, do udziału w którym zapraszane były prawie wszystkie przechodzące osoby. Reakcje były różne – od przerażenia płonącym palcem, do szczerego entuzjazmu i dołączenia do grona uczujących. Tradycją „Drugiej Ery” jest zaś świętowanie szampanem o północy urodzin klubu (które przypadają 9.12, jeśli kto ściekawy), i oczywiście stało się jej zadłość.

Pilnując się, aby przesiedzieć całą noc, a nie kłaść się o szóstej „na pół godzinki”, co zwykle kończy się przespaniem porannego autobusu, w wesołym i miłym towarzystwie spędziłem ostatnie godziny Nordconu. Nordconu bardzo udanego, wyzwającego nostalgię, że znów trzeba będzie czekać kolejny rok. Organizatorom bardzo dziękuję, wszystkim znajomym serdecznie pozdrawiam i do zobaczenia na Nordconie 2004 – mimo wszystko, oby w „Hutniku”!



A w powrotnym autobusie tym razem białostocko-poznańska ekipa miast (jak przed rokiem) spontanicznego karaoke na bazie Kombi i Przybyszów z Matplanety, zadowolili się odczytywaniem współ-pasażerom na głos poezji niezrównanego Tadeusza R. L. Dudy.

Marcin Bronhard (Druga Era)

Dziękujemy za tekst! Postaramy się zrewanżować przy najbliższej okazji...

(red.)



NIUSY

PIOTRUŚ PAN ZNÓW NA EKRANIE

Na ekrany kin amerykańskich weszła nowa ekranizacja „Piotrusia Pana”. Radzi sobie znakomicie – po dwóch tygodniach wyświetlania zarobiła 34 miliony dolarów.

Film chwalony jest za wierność książce J. M. Barriego i „znakomitą mieszkankę cudowności z melancholią” (jak twierdzi krytyk „New York Timesa”). Jego polska premiera przewidziana jest dopiero na 5 marca.

MJS



RUNA ZNÓW ZAPOWIADA...

...tym razem wydanie dwóch powieści: „Letniego deszczu. Kielicha” Anny Brzezińskiej (kontynuacji cyklu o zbójcu Twardokęsku) i „Wojny runów” Marcina Mortki

MJS

POWRÓT MATYLDY?

Luc Besson pracuje nad kontynuacją „Leona Zawodowca” – ujawniła Natalie Portman, która poważnie zastanawia się nad przyjęciem roli. Portman twierdzi, że „historia jest znakomita”, ale po zakończeniu zdjęć do „Gwiezdných Wojen” nie bardziej ma ochotę na wakacje niż na niezbędne ćwiczenia na siłowni. Miejmy nadzieję, że jednak się zmobilizuje.

„Leon Zawodowiec” był debiutem aktorskim Portman, która miała wówczas (1994) 13 lat.

misz za film.onet.pl

NIE BĘDZIE CZWARTEGO „KRZYKU”

Nie powstanie czwarta część filmu „Krzyk”. Odtwarzająca główną rolę Neve Campbell ma bowiem dosyć cyklu i uważa, że „jego potencjał został wyczerpany”.

MJS

LOTR NAJPOPULARNIEJSZY W ZJEDNOCZONYM KRÓLESTWIE

„Władca Pierścieni” zwyciężył w plebiscycie BBC na najpopularniejszą książkę Wielkiej Brytanii. Otrzymał aż 23 % wszystkich głosów.

Kolejne miejsca zajęły „Duma i uprzedzenie” Jane Austen, „His Dark Materials” Philipa Pullmana, „Autostopem przez galaktykę Douglasa Adama” oraz „Harry Potter i Czara Ognia” J. K. Rowling.

MJS

PÓŁ MILIARDA I PÓŁ MILIONA „POWROTU KRÓLA”

Ekranizacja trzeciej części Tolkienowskiej Trylogii bije wszelkie rekordy – w ciągu pierwszych dwóch tygodni wyświetlania na ekranach kin zarobiła aż 490,7 miliona dolarów!

Także w Polsce widownia była rekordowa: podczas pierwszego weekendu film zobaczyło 592 741 widzów.

MJS/misz za film.onet.pl



MAESTRO WIGILIJNO-ŚWIĄTECZNY

„Gazeta Wyborcza” zamieściła w Wigilię rozmowę Ewy Lipskiej ze Stanisławem Lemem, zaś TVN-24 nadała w pierwszy dzień Świąt wywiad z tymże prowadzony przez Grzegorza Miecugowa.

jpp

EFEKTOWNA FANTASTYKA

Aż sześć filmów kwalifikujących się do fantastyki otrzymało wstępne nominacje do Oscara w kategorii efektów specjalnych. Są to: „Hulk”, „Władca Pierścieni, część III. Powrót króla”, „X-Men 2”, „Piotruś Pan”, „Piraci z Karaibów: Klątwa Czarnej Perły” oraz „Terminator 3: Bunt maszyn”.

Siódmym filmem nominowanym w tej kategorii jest „Pan i władca: Na krańcu świata”. Ekspertcy wybiorą ostatecznie trzy z nich.

MJS

STASZEK W TVN JEST...

30 grudnia w stacji TVN, w programie „Rozmowy w toku”, pojawił się autor parodii „Stars In Black” Stanisław Mąderek.

CD Jack



NOWOŚCI W „SOLARIS”

Wydawnictwo „Solaris” ogłosiło, które książki planuje wydać w pierwszej połowie 2004 roku. Są wśród nich „Enklawa. Wolski w shortach 2” Marcina Wolskiego i piąta część antologii „Wizje alternatywne”.

CD Jack, MJS

KOLEJNE KOMIKSY W KINIE

John Wells Prods. zajmie się dla Warner Bros. Pictures adaptacją komiksu „Grendel” Matta Wagnera. Adaptacją projektu zajmuje się scenarzysta Carl Lund. Jego scenariusz ma się koncentrować na postaci Christine Spar, adoptowanej wnuczce bogatego Huntera Rose, czyli Grendela.

Na ekrany trafi także kolejny komiks Marvela: tym razem chodzi o popularną w latach 60. i 70. serię zeszytów „Silver Surfer”. „To naprawdę ostra historia science-fiction podlana filozoficznym sosem” – twierdzi Kevin Feige, jeden z szefów Marvel Studios.

misz za film.onet.pl



„HARRY POTTER” W IMAX-IE

Zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami, film „Harry Potter i więzień Azkabanu” trafi jednocześnie do konwencjonalnych kin i do IMAX-a. IMAX Corporation podpisała przed kilkoma miesiącami umowę z Warner Bros. Pictures, na mocy której najważniejsze filmy wytwórni będą ukazywać się w kinach wielkoformatowych. Po raz pierwszy eksperyment przeprowadzono przy okazji filmu „Matrix Rewolucje”. „Więzień Azkabanu” będzie kolejnym obrazem, który zadebiutuje w IMAX-ie tego samego dnia, co w normalnych kinach.

Na zdjęciu Gary Oldman jako Syriusz Black. Poza nim, do głównych ról trzeciego Pottera zaangażowano Michaela Gambona (dyrektor Dumbledore), Davida Thewisa (Remus Lupin). Reżyserem jest Alfonso Cuarón.

misz

Powrót Króla - szkoda, że to już koniec wyprawy

Po trzech latach czekania mogę na pewno powiedzieć jedno - Wyprawa dobiegła końca - i zaraz dodać: szkoda, że tak szybko. Trzecia część „Władcy Pierścieni” pod tytułem „Powrót Króla”, jak łatwo się domyślić znając książkę (nie znając zresztą też), kończy przygody Drużyny Pierścienia.



I to kończy w naprawdę w widowiskowym stylu. Tolkienolodzy jak zwykle będą się czepiać drobnych zmian fabuły czy pewnych skrótów, ale pierwsze, co przychodzi na myśl po obejrzeniu filmu, to „Ojej, to już? Koniec? Dlaczego?”. Bo film ogląda się świetnie i moim skromnym zdaniem jest to najlepsza z wszystkich części trylogii (mówię o filmie, a nie o książce). Oczywiście same zachwyty nie wystarczą i trzeba by to poprzeć

jakimiś przykładami. I tu pojawia się pewien problem, bo trudno opisywać cały film.

Może więc zostanie przy kilku scenach, które mi utkwiły w pamięci.

Do takich scen na pewno należy zapierający dech atak konnicy Rohanu pod Minas Tirith. Jest po prostu wspaniale sfilmowany, zawiera konieczną dawkę patosu, ale ten patos jest w pełni uzasadniony. Znający książkę pewnie pamiętają, że Rohirrimowie ruszyli do walki bez nadziei na zwycięstwo, ale dlatego, że tak im nakazywał honor i zobowiązania.

Przepięknie została też pokazana scena śmierci króla Nazguli z ręki Éowiny. Wspaniale przedstawiona jest wyprawa na Morannon (bramę Mordoru), mająca odwrócić uwagę Saurona od Froda. I oczywiście sama wędrówka Froda przez Mordor.

Świetnie zrealizowany jest Gollum z jego ciągłą walką wewnętrzną (między Gollumem a Smeagolem). Niesamowita jest wreszcie Armia Umarłych, która ostatecznie przechyliła szalę zwycięstwa na korzyść obrońców królestwa Gondoru. Są miłe dla ucha, jak zwykle zabarwione dużą dozą humoru, dialogi między elfem Legolasem a krasnoludem Gimlim, czy wreszcie wzruszająca scena pożegnania Froda ze Śródziemiem i przyjaciółmi.



Warto też obejrzeć całe napisy końcowe - są doprawdy ślicznie zrobione.

Długo by wyliczać to, co w tym filmie było dobre. Jedno mogę powiedzieć na pewno: TEN FILM TRZEBA ZOBACZYĆ.

Nie można jednak zapomnieć o tym, czego nie było w wersji kinowej, a zapewne zobaczymy w rozszerzonym wydaniu na DVD. Z dotychczasowych przecieków wiadomo, że będzie tam na pewno scena śmierci Sarumana; po obejrzeniu filmu przychodzi na myśl jeszcze jedna scena, która powinna się tam (na DVD) pojawić. A mianowicie scena z Domu Uzdrawień w Minas Tirith, w której Aragorn potwierdza

swoje prawa do tronu Gondoru wypełniając starą przepowiednię, że „dłonie króla mają moc uzdrawiania”.

Pozostaje więc tylko czekać na wersję rozszerzoną, która ukaże się na DVD - jak sądzę - w drugiej połowie 2004 roku. Jest na co.

Film trwa ponad 3 godziny, które mijają praktycznie niezauważalnie i nagle pokazują się napisy końcowe.

Michał Dagajew (www.gildia.com)



Za Froda! Za Shire! Za Dziadunia!

Tak, to była bandycka pora, pół godziny po północy - ale warto było wybrać się na sylwestrowy pokaz premierowy „Powrotu króla”.

Akcja rozpoczyna się pod koniec wydarzeń opisanych w książkowej części trzeciej - w momencie przyjazdu Theodena ze świtą i sześcioma członkami Drużyny Pierścienia do zniszczonego Isengardu. Sarumana, zgodnie z zapowiedzią, w ekranizacji nie ma (pojawia się jedynie w wersji rozszerzonej); bohaterowie zaraz udają się do Edoras.

Dalej na przemian obserwujemy losy Froda z Samem i szóstki przyjaciół. W przeciwieństwie do poprzednich filmowych części, nie ma tak wielu skrótów; szczególnie wątek podróży Powiernika Pierścienia ukazany jest dość dokładnie (aczkolwiek nie ma przeprawy przez ziemie Mordoru). Dodano parę nowych rzeczy - między innymi znów kontynuowany jest nieznośny wątek nieszczęśliwej miłości Arweny do Aragorna, przy czym rozmowy tej pierwszej z Elrondem momentami przypominają telenowelę brazylijską. Elrond z kolei nagle postanawia przekuć na nowo miecz Isildura i przywozi go Aragornowi do Edoras (zapewne po to, by Hugo Weaving mógł się w ogóle pojawić w „Powrocie króla”). No i - co wszyscy już wiedzą - nie ma porządków w Shire... Znajdzie się też parę innych skrótów i przeinaczeń.

Cóż jednak z tego wynika? Otóż - nic. Film i tak jest bowiem - zgodnie z tym, co fama głosiła - rewelacyjny. Został już nominowany do Złotego Globu, a poważnie rozważa się możliwość uhonorowania go Oscarem za najlepszy film roku!



Po raz pierwszy Jacksonowi i spółce udało się naprawdę znakomicie oddać klimat powieści. Frodo z krzykliwego fajtlapy zamienia się w pełnego poświęcenia młodzieńca, bohatersko posuwającego się do przodu w szaleńczej misji, mimo że brzemień ciąży mu coraz dotkliwiej. Samwise, choć wciąż jest najmądrzejszym ogrodnikiem Śródziemia, bardziej przypomina prostego, ale wiernego



przyjaciela, który zaryzykuje dobro misji, by ratować mu życie. Fascynująca jest walka dobra ze złem tocząca się w duszy Smeagola – w której zwycięża to ostatnie – i jego podstępne dążenia do skłócenia przyjaciół. Poza tym – arcygenialnie przedstawiona jest bitwa o Minas Tirith i Gondor, straceńcze rzucanie się do walki wbrew wszelkiej nadziei, atak olifantów oraz szturm na mury twierdzy (dodanie tych motywów wyszło filmowi na dobre), szaleństwo Denethora, tragiczny los Faramira, walka Eowiny i Merry'ego z Nazgulem, odsiecz Theodena i Aragorna.

Znakomita jest scenografia. Prócz pięknych krajobrazów Nowej Zelandii zachwyliło mnie na przykład Edoras – które co do joty tak właśnie sobie wyobrażałem. Fantastycznie wygląda Minas Tirith. Czarna Wieża na Kirith Ungol wygląda naprawdę groźnie, a Orodruina – jak góra ze Szczelinami Zagłady po prostu.



Świetne są zdjęcia Andrew Lesniego. Kapitalnie sfilmowane są sceny bitewne. Wrażenie robią obrazy wici rozpalanych na szczytach górskich. Najbardziej jednak zachwyliło mnie drugorzędne, ale genialne ujęcie, w którym w oczy patrzą sobie Arwena-dziecko i Arwena-dojrzała dziewczyna. Lesnie prezentuje tak wysoki poziom sztuki operatorskiej, że musi po prostu dostać nominację do tegorocznego Oscara.

Elijah Wood ma wreszcie okazję, by się wykazać – i wykorzystuje ją, udowadniając, że stać go na bardzo wiele. Jak zwykle przekonujący jest Sean Astin (Sam). Świetnie prezentuje się Andy Serkis (Smeagol). Ian McKellen jako Gandalf – to jak zwykle klasa. John Noble interesująco gra gniewnego, popadającego w szaleństwo namiestnika. Billy Boyd i Dominic Monaghan jako Pippin i Merry to bawią, to znów wzruszają. Wysoki poziom utrzymują Viggo Mortensen (Aragorn), Orlando Bloom

(Legolas) i John Rhys-Davies (Gimli).

Mojej opinii o kinowej wersji trzeciego tomu „Władcy Pierścieni” nie psuje nawet typowe dla Hollywood dynamizowanie na siłę akcji (na myśli mam przede wszystkim scenę nad Szczelinami Zagłady). Ogólnie rzecz biorąc – „Powrót króla” wbija w fotel z wrażenia. Oczywiście żaden film nie odda ogromnego bogactwa prozy Tolkiena; jednak doskonalszej ekranizacji trzeciego tomu Trylogii nie dałoby się chyba nakręcić.

Długo trwało, zanim ostatecznie przekonał mnie do siebie Peter Jackson. Udało mu się – jego film jest bliski perfekcji. Mimo kilku drobnych wad jestem nim zachwycony. Rzadko zdarza się obejrzeć kawałek tak znakomitego kina.

Marcin Szklarski



„**Władca Pierścieni, część III. Powrót króla**”. Nowa Zelandia / USA 2003. **Reżyseria:** Peter Jackson. **Scenariusz:** Peter Jackson, Philippa Boyens, Frances Walsh. **Zdjęcia:** Andrew Lesnie. **Muzyka:** Howard Shore. **Scenografia:** Grant Major. **Obsada:** Elijah Wood (Frodo), Sean Astin (Sam), Andy Serkis (głos Smeagola), Ian McKellen (Gandalf), Dominic Monaghan (Merry), Billy Boyd (Pippin), Viggo Mortensen (Aragorn), Orlando Bloom (Legolas), John Rhys-Davies (Gimli), Bernard Hill (Theoden), John Noble (Denethor) i inni.

UNDERWORLD: Fascynujące podziemie

Wampiry i wilkołaki to bardzo dobry temat dla kina popularnego. Oba stworzenia doczekały się swoistego kultu, fascynują od lat miłośników horrorów i są rozpoznawane na całym świecie. Każdy oglądał przynajmniej jeden film z udziałem tych bestii. Niektóre obrazy stały się wręcz dziełami kultowymi, wystarczy przypomnieć „Draculę” Francisa Forda Coppola czy „Wywiad z wampirem” Neila Jordana.

W ostatnich latach filmowców przestało interesować klasyczne podejście do tego gatunku filmów. „Underworld” – owoc współpracy debiutującego reżysera Lena Wisemana oraz scenarzysty Kevina Greviouxa – to przykład odejścia od stereotypowego wizerunku wampira. Wiseman, pasjonat grozy, chcąc złożyć hołd kinu poświęconego wampirom i wilkołakom, zamierzał wskrzesić „starzejące się” bestie, przy czym chciał zrobić to z polotem i dawką nowatorstwa. W tym celu umieścił oba gatunki w jednym filmie, a scenarzysta (prywatnie bliski przyjaciel reżysera) wymyślił do niego mitologię, tworząc świat zgoła inny od wszystkich, rządzący się własnymi prawami i regułami. Świat podziemia. Underworld.

Od wieków wrze wojna o dominację między dwoma gatunkami – arystokratycznymi wampirami i brutalnymi Lycanami (wilkołakami). Po śmierci Luciana, przywódcy Lycanów, szala zwycięstwa przechyliła się na stronę wampirów. Niedobitki rebeliantów są skutecznie eliminowane przez Siewców Śmierci – doborową elitę wampirów-zabójców, których zadaniem jest tropienie i skuteczne likwidowanie nieprzyjaciela.

Podczas jednej z takich rutynowej misji poznajemy Selene, przebiegłą i piękną wampirzycę, która całe życie poświęciła zabijaniu wilkołaków. Wkrótce jej życie ulegnie zmianie. Selene poznaje bowiem Michaela Corvina – młodego lekarza, który nie wiadomo czemu jest intensywnie poszukiwany przez Lycanów. Okazuje się, że śmiertelnik stanowi klucz do rewolucji, która może zmienić dalszy przebieg wojny. Bohaterka zakochuje się w człowieku, niestety jednak zostanie on ugrzyziony przez wilkołaka. Selena musi wybierać między lojalnością wobec rodu a miłością do Michaela. Decyzja nie jest łatwa, gdyż wkrótce dojdzie do wydarzeń, które gwałtownie zaburzą dotychczasowy porządek....

Reżyser starał się wykreować na ekranie oryginalną i pasjonującą wizję walki między dwoma gatunkami. Można śmiało powiedzieć, że dokonał tego z powodzeniem. Film utrzymany jest w mrocznej, zaprawionej gotycką estetyką, atmosferze. Umiejętnie budowana, wartka akcja wciąga widza od samego początku. Zaiste interesujący jest świat, który powstał w umyśle ich twórców. Underworld to podziemie, jednakże sytuacje, jakie mają tam miejsce, nie są nam obce. Wśród dostojnych wampirów szerzą się intrygi, nie brakuje spisków, zakłamania i chęci dominacji – prawdziwa gra polityczna. Z kolei Lycanie to „skrzywdzeni” bojownicy zepchnięci na margines społeczeństwa i przekonani o słuszności swoich poglądów.

W takim właśnie świecie przychodzi uczucie, który nigdy nie powinno zaistnieć – miłość między wampirzycą a pół człowiekiem-pół wilkołakiem, przy czym (chwała niebiosom) wątek miłosny jest zaserwowany w sposób delikatny i nie szkodzący klimatowi filmu. Wyrażony poprzez spojrzenia, krótkie odpowiedzi i jeden pocałunek, nie potrzebuje frazesowych tekstów budzących śmiech na sali.

W „Underworld” ogromną rolę odgrywa nauka i technika. Jest to w pełni zrozumiałe, zważywszy na fakt, że scenarzysta filmu jest z zawodu genetykiem! Akcent naukowy powoduje, że zasiedlające świat wampiry i wilkołaki są zupełnie inne i dalekie od



stereotypów wokół nich zbudowanych (te pierwsze mają np. odbicie w lustrze). Owszem, promienie słoneczne zabijają wampiry, a srebro szkodzi wilkołakom, tyle że tutaj eliminacja przeciwnika odbywa się za pomocą przemyślanych i skonstruowanych w toku laboratoryjnych badań broni (w przypadku krwiopijców za pomocą ultrafioletowych pocisków, w przypadku Lycanów pocisków ładowanych ciekłym azotanem srebra). Na tym rola nauki się nie kończy. Twórcy zdecydowali, że postarają się wyjaśnić zagadkę nieśmiertelności oraz powstania i różnicy dwóch gatunków.

To właśnie nauka powoduje, że „Underworld” jest daleki od innych podobnych filmów. Oczywiście zbyt wysokiego wysiłku intelektualnego nie należy oczekiwać, niemniej jednak jest to miły gest ze strony twórców, że w taki sposób chcą wyróżnić swoje dzieło.

Scenariusz nie obfituje w humorystyczne sceny i dialogi, cały film jest poważny i ponury, momentami aż za bardzo. Przytłumieni takim klimatem oglądamy go z niezwykłą ciekawością. Co ważne, nie ma tutaj scen erotycznych (pamiętasz „Od zmierzchu do świtu” - zapomnij więc o nim, gdyż nie doświadczysz tego samego w „Underworld”). Byłem tym zdziwiony, ale jednocześnie uszczęśliwiony. Zdecydowane lepiej poświęcić się budowaniu nastroju filmu innymi środkami. Nie brakuje też przemocy i krwi, na szczęście uniknięto typowej makabry.

Oprócz twórców ogromne zaangażowanie wykazali aktorzy. Widać, że praca przy tej produkcji sprawiała im przyjemność. Nikt nie domaga się w takim gatunku sztuki aktorskiej, lecz oczekuje od aktorów chęci i poświęcenia. Można śmiało powiedzieć, że sprostali oni temu wyzwaniu. Wykreowali oni wyraziste postaci, które mimo swej „niełudzkości” budzą naszą sympatię i pod pewnymi względami przypominają nas samych.



Selene (grająca z wdziękiem i klasą Kate Beckinsale) to bezwzględna zabójczyni kierująca się chęcią zemsty, skrywająca jednak pod płaszczem serce, gotowe do poświęceń dla wyższych celów i zdolne do uczuć. Michael Corvin (przyzwoicie grany przez Scotta Speedmana) to zagubiony lekarz, ale poczciwy człowiek (jako medyk ratowanie życia jest dla niego sprawą priorytetową). Warto nadmienić, że główni bohaterowie są tak dobrani, by oczarować obie płcie (piękna Kate Beckinsale panów, a przystojny Scott Speedman panie). Kraven, namiestnik wampirów (ekspresyjny Shane Brolly) – to żądny władzy paranoik, który nie cofnie się przed niczym, by zadbać o własną skórę. Z kolei Lucian (cyniczny i wymowny Michael Sheen) to przekonany o swej racji wojownik pragnący pokonać zniechęconego przeciwnika. Jest jeszcze Victor, członek starszyny grany przez Billa Nighy, który widać polubił tę rolę. Taka galeria osobowości może wzbudzić uwielbienie ze strony widzów.

Od strony technicznej „Underworld” to bardzo przyzwoita produkcja. Co przemawia „za”? Przede wszystkim świetne efekty specjalne (transformacje w wilkołaka robią wrażenie), wspaniałe sekwencje walk i pojedynków, utrzymane w mrocznej tonacji zdjęcia (kręcone w niesamowitej scenografii w Budapeszcie) oraz doskonała praca wykonana przez kostiumologów i charakteryzatorów (dzięki nim nie za wszystko odpowiedzialny jest tak często stosowany przez filmowców komputer). Widać, że twórcy bardzo wiele czerpali z dzieł takich jak „Matrix” (charakterystyczne zwolnienia kamery), „Blade” (choreografia pojedynków), „Tomb Raider” (sekwencje z wykorzystaniem broni) itp. Taka mieszanka dała na ekranie niezwykle wybuchowy efekt.

Wyrażam swój ciągły zachwyt nad „Underworld”. Czy jednak nie ma on wad? Odpowiedź na to pytanie jest oczywista i trywialna. Ma, i to kilka takich, które mogą zabołec. Film cierpi na typowe dla tego gatunku bolączki: nadmiar pojedynków (przyjemne to dla oka, jednak dla uszu widzów siedzących w kinie dwie godziny niekoniecznie), chaotyczność akcji (czasem ciężko się połapać, kto z kim i dlaczego), luki w scenariuszu (z pewnością wiele scen wycięto, być może zobaczymy je w wersji DVD) – i to w zasadzie wszystko. Niektórzy mogą się przyczepić, że szumne zwiastowanie „Underworld” jako

współczesnej wersji Romea i Julii nie sprawdziło się, gdyż wątek miłosny jest potraktowany zbyt powierzchownie (mnie akurat cieszy, że jest taki, a nie inny). Choć film trwa dwie godziny, może wydawać się za krótki. Akcja jest tak przemyślana, żeby wciągnąć widza (czas leci wówczas bardzo szybko), a następnie „porzucić” go, kiedy jego fascynacja sięga zenitu. Smutne to, ale producenci, wiedząc, że ich film dużo zarobi (nie powiem, należy mu się to) zdecydowali, że zainteresują nas tak, że nie będziemy żalowali pieniędzy na kolejną część. Zakończenie bowiem jest wyraźną furtką do nakręcenia sequeła (notabene oficjalnie zapowiedzianego, z taką samą produkcją i obsadą). Z pewnością to dobra wiadomość, ale przyjdzie nam trochę poczekać (do końca 2004 roku). A to już z pewnością nie należy do przyjemności.

„Underworld” to „horror akcji” dostarczający rozrywki na wysokim poziomie. Film nie jest rewolucją (bo nie ma nią być) czy przełomem w dziejach kina popularnego, ale należy do obrazów miłych dla oka, stanowiących dobry krok do odbudowy kina poświęconego wampirom i wilkołakom. Nie jest to jednak horror w pełnym tego słowa znaczeniu. Jeśli spodziewasz się przerażającego dreszczowca, to daruj sobie wyprawę do kina. Jeśli jednak przepadasz za silnymi wrażeniami i pragniesz wyłącznie czystej rozrywki - zapłać za bilet. „Underworld” jest wówczas filmem dla ciebie.

David Wojtowicz (www.gildia.com)



Farquahart, co na drzewo wlaź

Yggdrasil to w mitologii germańskiej i w legendach ludów skandynawskich olbrzymi, wiecznie zielony jesion - Drzewo Życia obejmujące cały wszechświat. Jego korzenie otulają podziemną krainę zmarłych, wyżej znajduje się świat olbrzymów, potem zaś ludzi i bogów. Na gałęziach Yggdrasilla żyją święte, magiczne istoty: węże, smok, orzeł, jastrząb, wiewiórka i cztery jelenie.

Wyobraźmy sobie świat, w którym nie znamy słońca - czekamy, aż rozjaśni się żywość; nie znamy ziemi - kroczymy po filcowatym żywogrunie. Ludzkość egzystuje na gałęziach gigantycznego Drzewa. Gdziekolwiek krążą legendy o planecie Ziemi, którą trzeba było opuścić, ale prawie nikt nie pamięta już powodów. Zdaje się, że była jakaś katastrofa...

Dla większości żyjących Drzewo jest całym światem, świętym tworem dającym schronienie i umożliwiającym przetrwanie. Dziwią się, że niektórzy, tak zwane „krety”, wybrali nędzną roślinność w „piekle” na Dole. Na Drzewo składa się wiele odseparowanych od siebie segmentów, w których mieszkają ludzie. Jedynie nielicznym dana jest możliwość przekraczania barier. Jest to jeden z powodów wytworzenia się dziesiątek kultur na różnych poziomach cywilizacyjnych. Można spotkać zarówno prymitywnych łowców z plemienia Ux jak i myśliwych; traperów; mieszkańców osad, które funkcjonują dzięki skromnej technologii; o wiele bardziej zaawansowanych technicznie członków społeczności Apeksu z Wierchołka i żyjących z handlu nomadów, podróżujących w antygrawitacyjnych statkach.



Opowieść rozpoczyna incydent w niewielkim miasteczku Keshe, w segmencie New Cheshire. Ów incydent powoduje całą serię wydarzeń. Najważniejszym z nich jest przyjęcie przez Thomasa Farquaharta - młodego strażnika prawa - brzemiennej w skutki propozycji przełożonego, a zarazem przyjaciela, arcykonstabl Gerharda von Klosky. Gerhard namawia go do opuszczenia sennego, nudnawego Keshe i udania się na wyprawę - ni mniej, ni więcej, tylko... na sam owiany grozą Dół. Sam arcykonstabl okazuje się postacią kryjącą o wiele więcej niespodzianek, niż Thomas mógłby się spodziewać.

Podróż po Drzewie jest dla niego prawdziwą szkołą życia. Do tej pory miał o swoim świecie bardzo mizerne pojęcie. Wraz z Gerhardem i towarzyszami, którzy dołączają się do nich po drodze, wydobywa z mroków przeszłości tajemnicę powstania ich świata. Dzieje się to dzięki odnalezieniu tytułowego archiwum. Czy Yggdrasil aby na pewno jest Drzewem Życia? Odpowiedź na to pytanie jest zaledwie początkiem dużo ważniejszych poszukiwań. A to dopiero pierwsza część trylogii...

Wawrzyniec Podrzucki jest mikrobiologiem i doktorem nauk medycznych. Fakt, że autor należy do grona ludzi nauki, odcisnął wyraźny ślad na książce. Na polskim rynku wydawniczym od dawna nie było rodzimej pozycji spod znaku hard SF. Historia, barwnie przedstawiona przez Podrzuckiego, łączy elementy tego gatunku z wątkami charakterystycznymi dla powieści przygodowej oraz „opowieści drogi”. Czytelnicy mogą się spodziewać eskalacji wydarzeń niemal ze strony na stronę. Naszych bohaterów ścigają wrogowie - wyznawcy Kościoła Ostatecznego Rozgrzeszenia (jak sama nazwa wskazuje, jest to wyjątkowo radykalna sekta) oraz bezwzględni (z pewnym wyjątkiem...) łowcy nagród.

W jakim sensie jednak to, że autor jest naukowcem, wpływa na utwór?

Fascynacja nauką widoczna jest przede wszystkim w niezwykłej dbałości o szczegóły. Rzeczywistość wykreowana przez pisarza jest bardzo spójna. Widać to nawet w pobieżnej charakterystyce kultów religijnych panujących wśród społeczności Drzewa.

Godne podziwu są para-naukowe określenia na różne części Yggdrasil, przedmioty i zdobycze techniki jego mieszkańców. Autor często podaje nazwy budzące skojarzenia ze znanymi nam sprawami - lekcjami biologii lub artykułami na temat rozwiązań problemów technicznych. Muszę przyznać, że słowa „infoganglion” lub „septum” brzmiały dla mnie na tyle wiarygodnie, że przez ciekawość przejrzałam słownik. Działają na wyobraźnię.

Nieźle brzmi również slang młodzieży z Półświata Keshe. Niestety jest też kilka drobiazgów, które mogą nieco zmęczyć część czytelników.

Wiele osób zapewne pamięta makabrycznie brzmiące nazwiska i imiona bohaterów utworów fantastycznych z lat 70. i 80. (Stanisław Lem swego czasu piętnował to zjawisko). Cóż... Farquahart, Durqvartz, Remmuerish... to dość drażniąca maniera.

Kolejną sprawą jest bardzo kwiecisty styl i nazbyt pretensjonalne w stosunku do opisywanej sytuacji sformułowania w rodzaju: „...uciął Gerhard bez żadnych preambuł”, „...powietrze było bardziej turbulentne niż na dole”, „zachowania istot obdarzonych rozumem stanowią kontrpunkt dla...” itp.

Ogólnie rzecz ujmując - pomimo kilku drobnych wad „Uśpione archiwum” stanowi prawdziwą perełkę. Czyta się je naprawdę szybko i przyjemnie, a po lekturze można znaleźć kilka tematów do pofilozofowania. Podoba mi się również, że wreszcie przedstawicielka płci żeńskiej została wyposażona w atrybuty „szalonego naukowca”. No, ale nie wolno mi za wiele zdradzić...

Joanna „Trashka” Kułakowska (www.gildia.com)

Uśpione Archiwum Wawrzyniec Podrzucki, Wydawnictwo RUNA, Warszawa 2003

W Anthosie Skoliodoi

Jacek Dukaj na dobre już chyba porzucił krótkie formy prozatorskie. Zajmuje się nimi wprawdzie od czasu do czasu, za półtora roku spodziewany jest drugi tom jego opowiadań – lecz koncentruje się głównie na powieściach. Czy to właściwy wybór? Chyba tak, bo z każdą kolejną książką ich poziom rośnie. Najlepszą z nich są zaś ostatnio wydane „Inne pieśni”.

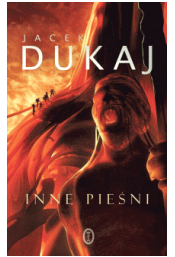
Akcja utworu ma miejsce na Ziemi, około osiemnastego wieku. Nie jest to jednak Ziemia, jaką znamy: wszechświat rządzi się nie prawami fizyki, lecz (z grubsza) zasadami sformułowanymi przez Arystotelesa. Ziemia stanowi więc centrum wszechświata. Byt składa się z substancji, złożonych z Formy i Materii; ta pierwsza jako ważniejsza nadaje Materii kształt. W związku z tym wszystkie społeczności świata są silnie zhierarchizowane: rządzi nimi kilkunastu potężnych kratistosów, osób o najsilniejszych Formach. Kształtują oni Materie wszystkich poddanych żyjących w ich Aurze, wpływając na ich wygląd, wzrost czy cechy charakteru. I tak dalej, aż do nizin społecznych: każda osoba o Formie silniejszej od innego wpływa nań i nad nim dominuje.

Bohaterem powieści jest strategos Hieronim Berbelek – wielki, sławny taktyk i strateg wojskowy. Niegdyś, w bardzo młodym wieku, dowodził armią jednego z kratistosów, walczącego z siłami ponurej sławy Iwana zwanego Czarnoksiężnikiem – którego Aura obejmuje Kaukaz i ziemie w przybliżeniu rosyjskie, sięgając aż po zachodnią Słowiańszczyznę. Jedyna klęska Berbeleka, zakończona spotkaniem z Czarnoksiężnikiem, zrujnowała jednak silną Formę strategosa. Obecnie wydobył się już częściowo z Iwanowego Anthosu szaleństwa, pustki i dążenia do śmierci – pomógł mu w tym założenie domu kupieckiego – nie odzyskał jednak w pełni tożsamości i woli życia.

Punktem przełomowym jest dla niego przyjazd dwojga nie widzianych od lat, dorastających obecnie dzieci – Alitei i Abła. Razem z nimi i tajemniczą, pociągającą, ale niepokojącą esthle Amitace wyruszają do Afryki. Tam zaś udają się na wyprawę do ogromnej strefy Skoliodoi – Skrzywienia, krainy pełnego chaosu i przemieszania Form i Materii, wejście w którą grozi deformacją ciała i umysłu. Podróż ta odmieni życie Berbeleka; w jej efekcie znajdzie się w centrum doniosłych wydarzeń. Czy odzyska dzięki temu dawną Formę?

Akcja – jak Dukaj ma w zwyczaju – rozwija się z początku dość leniwie. Potem jednak stopniowo coraz bardziej przyspiesza, staje się coraz ciekawsza i bardziej emocjonująca. Krok po kroku, gdy czytelnikowi wydaje się, iż autor niczym więcej już się w powieści nie wykaże, odkrywane są kolejne, coraz bardziej zaskakujące fakty i prawa rządzące światem. Na koniec zaś następuje wielki punkt kulminacyjny – zaplanowany z kunsztem, niejasny, otwarty, pozostawiający możliwość swobodnej interpretacji.

„Inne pieśni” to specyficzne połączenie science fiction, fantasy, historii alternatywnej, sagi rodzinnej i paru innych gatunków. Science fiction – bo Dukaj jak zwykle opiera utwór na pomyśle ontologicznym i jednym z najważniejszych jego elementów jest ujawnianie sposobu istnienia rzeczywistości; a także ze względu na charakterystyczną dla języka fantastyki naukowej manierę używania neologizmów. Fantasy – bo nie ma tu jakichkolwiek rekwizytów SF; bo sposób sprawowania władzy przez kratistosów i wpływ Formy na Materię przypomina magię; bo świat nie rządzi się prawami fizyki. Historii alternatywnej – bo akcja dzieje się na inaczej niż w rzeczywistości rozwijającej się Ziemi. Sagii rodzinnej – bo momentami bardzo istotne stają się stosunki między członkami złączonej po latach rodziny. Do których innych gatunków zaliczyć można najnowszą powieść Dukaja – nie napiszę, w ten sposób zepsułbym wam bowiem przyjemność lektury.



Ogólnie rzecz biorąc – „Inne pieśni” to powieść interesująca, frapująca i bardzo oryginalna; jak autor stwierdził podczas spotkania autorskiego na Nordconie – oryginalna być może nawet w skali światowej, prawdopodobnie nikt nie wpadł jeszcze na pomysł tego rodzaju. I ma chyba rację – traktując szumne określenie „w skali światowej” z należyтым dystansem (który Dukaj też zachowuje), stwierdzić trzeba, że to jedna z najbardziej interesujących powieści, jakie powstały w ostatnich latach w polskiej fantastyce. Forma autora zauważalnie rośnie; pozostaje tylko mieć nadzieję, że kolejne jego utwory zachowają lub przewyższą poziom „Innych pieśni”.

Marcin Szklarski

Harakiri czy sepuku?

„Krew i kamień” to książka niezwykła. Właśnie tak: nie-zwykła. Czarne znaki na papierze zawierają więcej niż po prostu opowieść. Kołodziejczak zamknął w nich wizję świata. Niewielki to świat, fragment jedynie większej całości, wycinek przestrzeni i czasu - a jednak w swojej fragmentaryczności kompletny i zarazem gotów do ekspansji; buzujący obietnicą rzeczy wspaniałych, chociaż nie danych bezpośrednio - wyznaczone przez narrację granice z lekka się zacierają, sygnalizując potencjalną obecność świata wielkiego i jeszcze bardziej fascynującego.

Stało się. Zabrzmiały pierwsze okrzyki zachwytu, a tymczasem wciąż bardzo wiadomo, o co właściwie chodzi. Cóż takiego szczególnego jest w świecie kreowanym przez Kołodziejczaka?

Dobre pytanie.

Odpowiedź wydaje się prosta i brzmi: siła wizji. Koncepcja, w której cztery podstawowe żywioły stanowią o samej istocie istnienia świata, jest ciekawa sama w sobie, ale, co dużo ważniejsze, rozwinięta została w sposób konsekwentny, przemyślany i przekonujący. W tym świecie przyroda nie jest po prostu tłem, lecz ważnym bohaterem zdarzeń. Elementy występują tu jako siły aktywne, posiadające własne, trwające we względnej równowadze dziedziny, rządzące się swoimi prawami. Ziemia, woda, ogień, powietrze władają mocą kreacyjną, dają początek życiu. Każdy z tych żywiołów rodzi jednak własne potomstwo i własnemu potomstwu później sprzyja. Człowiek jest dzieckiem Ziemi, to ona go błogosławi, staje się dla niego źródłem siły i mądrości.

Oczywiście, nie każdy odczuwa równie silną więź z Rodzicielką - tylko nieliczni wybrani potrafią przeżywać ten związek naprawdę świadomie. Nie wszędzie też moc Ziemi emanuje równie intensywnie - istnieją miejsca, gdzie władza żywiołu jest szczególnie - to Kręgi, które stanowią podstawę podziału dziedziny ludzkich. Ten, kto włada Kręgami, rozporządza również błogosławieństwami Ziemi, a to wielka władza. Magiczna moc żywiołów nie jest bowiem kwestią wiary, lecz faktów - to empiryczna rzeczywistość. Możliwość władzy budzi żądzę władzy, nic więc dziwnego, że w czasach, w które wprowadza nas powieść, dawny związek ludzi z Kręgami został zburzony: władcy Miasta Os podbili sąsiednie dziedziny i teraz im sprzyja moc Ziemi.

Zapewne pomysł podobny nie byłby nic wart, gdyby nie solidne wykonanie. Na szczęście w tej materii nie sposób Kołodziejczakowi niczego zarzucić. Świat, który stworzył, przesycony jest swoiście „organiczną” atmosferą, widoczną w sposobie produkcji broni, w nazewnictwie i w języku w ogóle, w sposobie myślenia, w rytuałach. Dzięki temu związek człowieka z przyrodą nie ma czysto umownego charakteru, lecz objawia się w sposób konkretny i przekonujący. W tym świetle sensu nabiera pomysł pozbawienia mieszkańców tego świata metalu. Chwył, który może początkowo budzić wrażenie szukania oryginalności na siłę, w rzeczywistości okazuje się ważkim elementem szerszej koncepcji, nadającym jej jeszcze głębszy wymiar, czyniącym ją bardziej zwartą.



Dodać trzeba, iż zwyczaje tego świata są okrutnymi zwyczajami. Tortury urosły do rangi niemalże sztuki, niewolnictwo jest na porządku dziennym, sferę rytualną zdominowała śmierć. Okrutna jest ceremonia powitania Szerszeni, okrutna jest kara, jaką Ostry wymierza Magwerowi, okrutny jest rytuał mający w czasie bitwy chronić wojowników przed Czarną Różą śmierci. Kołodziejczak nie ucieka od okrucieństwa w opisach, lecz przedstawia je z surową wiernością. Nie mamy tu jednak do czynienia z jakimś pustym „uatrakcyjnianiem” fabuły. Takie są prawa tego świata, okrucieństwo wpisane jest w jego formułę.

Osobliwe odczucia budzi waga, jakiej w ustach mieszkańców tego świata nabiera słowo. Słowo, które wydaje się mieć w „Krwi i kamieniu” siłę niezwykłą, magiczną. Widać to chociażby w turniejowym powitaniu-salucie, a zwłaszcza w języku Liścia. Uderza celność i celowość jego wypowiedzi - które prostym, literalnym sensom nadają głębię. Sprawca moc słowa nie ma jednak nic wspólnego z charakterystycznym dla fantasy hokus-pokus. Nie służy jarmarczonym sztuczkom, lecz raczej kształtowaniu percepcji rzeczywistości, jej wewnętrznego, psychicznego wymiaru.

Ale co z fabułą? Nie sposób nie dostrzec, że w stosunku do konstrukcji świata pełni ona funkcje służebne, stanowi pretekst do rozwinięcia kolejnych pomysłów autora. Nie znaczy to jednak wcale, że fabuła jest tu nieważna. Chociaż podporządkowana kreacji świata, nie została potraktowana całkowicie instrumentalnie. Znajdziemy tu parę pomysłów, które utrzymują naszą uwagę w należyтым napięciu: jest i na poły kryminalna zagadka, jest motyw zemsty, mamy tu wielką bitwę i odrobinę seksu. Nie zabrakło niespodziewanych zwrotów akcji. Postaci pod względów charakterów raczej typowe, ale w sumie ciekawe. Krótko mówiąc: wszystko, czego potrzebuje poprawnie skonstruowana fabuła. Wprawdzie tu i ówdzie trafimy na grubymi nićmi szyte partie opowieści, ale przyjemność obcowania z wykreowanym przez Kołodziejczaka światem niweluje zupełnie te drobne niedogodności.

Powieść „Krew i kamień” stanowi znakomity dowód na to, że siła żywej, lecz zdyscyplinowanej wyobraźni, wsparta dobrym pisarskim warształem, może zrodzić rzecz fascynującą, perełkę w morzu skonwencjonalizowanej fantasy. Dobrze się czułem w świecie powieści Kołodziejczaka i chętnie bym tam wrócił - by zobaczyć i dowiedzieć się więcej.

Gościnnie polecam!

Marek Pustowaruk (www.gildia.com)

Krew i kamień Tomasz Kołodziejczak , Wydawnictwo: SuperNOWA, Warszawa 2003

W fantazyjnej Norwegii

„Ostatnia saga” to powieściowy debiut Marcina Mortki. Akcja książki rozgrywa się w średniowiecznej Norwegii, ale bardzo niewiele znajdziemy tutaj prawdy historycznej. Nie z prawdy historycznej wyrasta bowiem ta opowieść.

Norwegia staje w obliczu przemian. Eryk Halvdanson, zwany Białym Jastrzębiem, powraca z Anglii nie tylko po to, by upomnieć się o należny mu po ojcu tron. Ambitny król pragnie czegoś więcej: wypowiada wojnę staremu porządkowi, by odwrócić serca norweskiego ludu od bogów Asgardu. Padają ścięte święte jesiony, oporni cierpią męki i gniją w lochach. Bogowie starego świata nie mogą jednak odejść, póki nie wypełni się przeznaczenie. Bój o dusze okazuje się bojem o losy kraju i całego świata.

Pierwsze strony powieści nieco rozczarowują. Fabuła rozwija się poprzez zlepek scen, którym brak głębi, stanowią one po prostu konieczne wprowadzenie, określające sytuację wyjściową, „uruchamiające” bohaterów. Ot, ciąg mniej lub bardziej znaczących epizodów. Nie znalazłem tu nic, co wyraźniej pobudziłoby moją uwagę:



widmo typowości unosi się nad światem przedstawionym. Irytuja jarmarczne manifestacje mocy magicznych i boskich (płonący krzyż na niebie, przepowiednia w skale - zbyt wiele w tych motywach dosłowności).

Objęcie podobną oceną całości książki byłoby jednak wielką niesprawiedliwością. Chociaż akcja rozwija się początkowo powoli i jakby w nieco wymuszony sposób, w pewnym momencie tryby literackiej maszyny zaczynają się zazębiać, wydarzenia nabierają rumieńców, a bohaterowie przykuwają uwagę. Bardzo być może, iż początkowe fragmenty fabuły, przedstawiające kolejne porażające sukcesy Halvdansona, były czymś w rodzaju ustawiania wojsk przed bitwą: najciekawsze ma dopiero nastąpić. I rzeczywiście robi się ciekawiej, gdy tryumfy Białego Jastrzębia okazują się niepełne, jego wrogowie - nie tak bezsilni, a boscy obserwatorzy - nie do końca bierni. Napięcie niespodziewanie zaczyna narastać, początkowo nieśmiało, powoli, później coraz gwałtowniej, a od mniej więcej połowy książki trudno się od lektury oderwać. Wątki - których Mortka wprowadza całkiem pokąźną ilość - ulegają komplikacji, rozrzucone elementy układanki łączą się w spójną całość. W takim świetle ujawnia się sens owych rozpędzających opowieść początkowych epizodów, zyskują one w ten sposób na wartości.

To nowe oblicze „Ostatniej sagi” tworzą przede wszystkim wizerunki bohaterów. Budzą oni żywe emocje, okazują się czymś więcej niż tylko pionkami w fabularnej rozgrywce. Ci, którzy wcześniej wydawali się zamknięci w pewnych stereotypach, charakterystycznych dla tego rodzaju literatury, zrzucają krępujące więzy - nagle okazuje się, iż mają do zaoferowania więcej niż chciałaby zużyta konwencja. Zmieniają się, zaskakują - zyskują na charakterologicznej głębi. Mogli stać się kukłami, wypełnionymi przypadkowymi uczuciami, podejmującymi przypadkowe, nieprzekonywujące działania. Mortka uczynił ich czymś więcej; tchnął w nich życie. Życie to nie wyrasta z wybitnej intelektualnej komplikacji, ale przecież nie miejsce dla filozofów w czasach, gdy najistotniejsze kwestie rozstrzyga się mieczem. To fantasy, nie Dostojewski!

Oczywiście, wspomniane wyżej zmiany nie mogą zachodzić w oderwaniu od fabuły. Ta również staje się bardziej dynamiczna, stawia bohaterów w obliczu sytuacji, z których nie mogą wyjść niezmiennymi. Albo z których w ogóle nie mogą wyjść. Nim konflikt się rozstrzygnie, wielu mężów przekroczy bramy Walhalli. Rozwój, a zwłaszcza zamknięcie wielu wątków zaskakuje, a i samo zakończenie okaże się nieco inne od oczekiwanego. To także niewątpliwe zalety.

W opowieści zderzają się dwa antagonistyczne porządki, różne postawy światopoglądowe. W starciu tym nie ma finezji, ale też być nie mogło: nie idzie tu przecież o intelektualną wyższość jednej koncepcji religijnej nad drugą. Walka o dusze jest tutaj jak najbardziej dosłowna, bogowie zaś nie pozostają ukryci: ich obecność, nawet jeśli nie manifestowana bezpośrednio, ujawnia się w berserkerskim szale wojowników, w mocy kapłanów, w przeznaczeniu. Konflikt doprowadzi do przeobrażenia świata, chociaż nie każdy to dostrzeże.

Mortka zderza tu również dwa żywioły na poziomie konstrukcji tekstu: z jednej strony mamy powieść fantasy, z drugiej zaś - powieść historyczną. Niewątpliwie, fantasy jest tu bez porównania więcej niż historii, ale ostatecznie trzeba stwierdzić, że takie rozłożenie akcentów wyszło opowieści na dobre. To, co nadprzyrodzone, nadaje „Ostatniej sadze” nowy wymiar, dynamizuje cały świat przedstawiony: tak fabułę, jak i bohaterów.

Pozostaje więc stwierdzić jedno: udany to debiut i dobra lektura na szare dni zimowe, gdy wicher z północy targa konarami drzew i ołowiane chmury gna po niebie, chociaż czarne kruki nie zwiastują już niczego.

Marek Pustowaruk (www.gildia.com)

MIĘDZY NAMI – STEREOTYPAMI

/list wysłany jesienią do redakcji poznańskiego magazynu komiksowego „AQQ”/

Miałem niedawno przyjemność być słuchaczem dysputy na temat komiksu prowadzonej przez grupę twórców i krytyków w oruńskim „Dworku Artura” – towarzyszącej wystawie komiksowej zorganizowanej w tym najstojniejszym, po powodzi, gdańskim domu kultury. Uczestnicy tejże dysputy (m.in. Szyłak, Truściński, Gosieniecki) poruszyli wiele problemów, w tym kwestię odbioru komiksu w społeczeństwie polskim. I zwrócili uwagę na pewien krzywdzący stereotyp. Otóż jeśli np. jakiś krytyk filmowy chce podkreślić, że fabuła danego obrazu jest dość schematyczna, a występujące nim postacie mało skomplikowane – często używa zwrotu „komiksowy” („komiksowa fabuła”, „komiksowe postacie”), co traktuje jako synonim prymitywizmu, infantylizmu, bylejakości. Jak krzywdzące i mylące jest to uproszczenie nikogo z Czytelników „AQQ” przekonywać nie trzeba (choć każdy z nas mógłby podać wiele przykładów nader „komiksowych” komiksów). Zwróciłem uwagę na coś innego: to szacowne grono mówiąc o niskim przygotowaniu przeciętnego Polaka do sztuki bardziej wyrafinowanej – jako symbol schematyzmu, prymitywizmu i bezmózgowia wymieniało z kolei „teledysk”. Słowo „teledyskowy” brzmiało w ich ustach dokładnie tak, jak słowo „komiksowy” w ustach przywoływanych przez nich „glównonurtowców”.

To ciekawe zjawisko, znam je również z Gdańskiego Klubu Fantastyki (animozje wielu „starych” fanów wobec graczy): narzekamy, że niesprawiedliwie wepchnięto nas do getta – a jednocześnie wpychamy do odrębnego getta innych.

Nie chodzi mi tu o podzielenie wszystkich fascynacji, lecz o założenie, że w innym gatunku też może trafić się coś wartościowego (mnie np. zupełnie nie rusza manga, ale wiem o istnieniu *Akiry!*). Co zaś do teledysków...

Kiedyś w „Informatorze” GKF (jeszcze za poprzedniego Naczelnego) napisałem wakacyjny esej o teledyskach francuskiej piosenkarki Mylene Farmer – moim (i nie tylko moim) zdaniem absolutnych arcydziełach gatunku. Od tego czasu obejrzałem ich jeszcze więcej, co mnie w owej ocenie tylko umocniło. Nie będę tu ich streszczał, zajrzyjcie do Internetu, do francuskiego kanału muzycznego MCM, może (jeśli będziecie mieli okazję) do paryskich sklepów muzycznych... Tu tylko krótko zasygnalizuję, czym może być teledysk:

Libertine Pyszna, mięsista opowieść o miłości, zdradzie i zemście w kostiumowym świecie Ludwika XV;

Pourvu qu'elles soient douces Ten sam świat, ale wojna z Anglikami – jeden z najjaskrawszych i najbardziej antywojennych filmów, jakie dane mi było zobaczyć;

Sans contrefaçon Poetycka opowieść o lalkarzu i marionetce, przywodząca na myśl zarówno *Pinokia*, jak też wczesne filmy Felliniego i Bergmana;

Tristana Przeszabawna parodia *Królowny Śnieżki* w realiach a la *Doktor Żywego*;

Desenchantee Ponura historia buntu w iście orwellowskim obozie pracy;

Que Mon Coeur Lache Zwariowany skecz w stylu Monty Pythona, acz w reżyserii Luca Bessoną;

Je t'aime melancolie Odwieczna walka płci w formie arcymistrzowsko sfilmowanego i zmontowanego pojedynku bokserskiego;

Sans logique To samo, tylko bardziej dołująca – w alegorii krwawej corridy;

California Podwójne życie kobiety – można rzec „Kieślowski w pigułce”.

To najwymowniejsze przykłady; mógłbym wymienić jeszcze **Ansi soit je, Comme j'ai mal, XXL, Je te rends ton amour, Souviens-toi du jour, L'Ame-Stram-Gram, Optimistique-moi** – i wiele innych podobnie „prymitywnych” i „schematycznych” teledysków...

A widząc w MTV pakujących paluchy w ekran raperów – pierwszy wyłączam telewizor!

Jan Plata-Przechlewski

cd ze str. 24 RUNA POTIOMKINOWSKA

Prosty przykład: gdybym ja, w połowie lat 90., owczym pędem z większością autorskiego stada poszedł do „SuperNowej” – wydałbym tam zbiór *Noteka 2015*, ale już nie *Most nad Otchłanią*. Kowalski najpierw przykroiłby mnie do własnego gustu. Po latach zaś okazałoby się, że utopiłem swe najlepsze teksty w mętным bagnie „copyrightów” – i razem z innymi autorami „SuperNowej” tkwię dziś po łokieć ręką w nocniku. Twórcom, którzy swego czasu patrzyli na mnie z mieszaniną wyższości i politowania, że zamiast w „renomowanym wydawnictwie” wydaję w malutkim „S.R.”, ostatnio nieco zrzedły miny.

Sprawa jest prosta: wydawca ma wizję i pisarz ma wizję. Wydawca ma władzę i pieniądze, pisarz powinien mieć niezależność. Jeżeli obaj nie są w stanie się dogadać – pisarz odchodzi do innego wydawcy, a w przedpokoju zostaje tylko zdesperowany debiutant ze zmiętym maszynopisem w spoconych dłoniach. Można debiutantem poniewierać (w końcu sam się o to prosi); ale szczyć się tym, podnosić zamordyzm do rangi prawa fizyki – to już przesada. Dlatego wpieniłem się na Brzezińską.

Brzezińska na to, że wcale nie poniewiera, wręcz przeciwnie – swoich autorów szanuje ogromnie, tak bardzo, że nawet aż potrafi łaskawie przystać na jakiś przecinek czy inne „się” postawione w miejscu, gdzie to autor, a nie redaktor, sobie życzył. Za stary ze mnie wróbel, żebym nie poznał się na manipulacji typu: „ustąp trochę, weź dużo”. Zwłaszcza że zaraz po deklaracji, jaką to wielką wolność mają autorzy „Runy” w kwestii przecinkowania „w stylu oberka”, padły słowa na temat obowiązkowego pisania konspektów powieści – i że zgodność konspektu z gotowym tekstem to ma być „test na dyscyplinę myślową”.

Żaden „test” – proszę pisarskich laików – to tylko jedna z wielu metod pracy nad powieścią, która nie każdemu zresztą odpowiada. Konspekt z natury rzeczy jest mniej szczegółowy od gotowego tekstu, a czasem jeden mały szczegół, dla którego nie było miejsca w konspekcie, potrafi wiele zmienić! Kłania się teoria chaosu i efekt motyla. Chaos zawsze usiłuje wcisnąć się do tekstu, ale złoty środek między logiczną spójnością fabuły a spontanicznością skojarzeń każdy wypracowuje sobie sam. Jest to trudne, ale na tym polega bycie pisarzem. Sztwyne trzymanie się konspektu to najlepszy sposób na drętwe dialogi i papierowe postacie. Widać Brzezińska tego nie wie, skoro wobec swoich autorów i postaci literackich zachowuje się jak pruski kapral. Uparte wymuszanie wierności konspektowi, pod rygiorem „poszukania innego wydawcy” – to nic innego jak forma selekcji autorów, pozwalająca wyróżnić posłuszniejszych od zdolniejszych; przy czym ze schodów spuszcza tych ostatnich.

Nie jestem i nie będę autorem „Runy”. Nie zwykłem bowiem ustępować przed sztywnym dogmatyzmem ani pozwalać by mną manipulowano. Jako stary wyjadacz pisarskich wierszówek czuję się jednak w obowiązku ostrzec młodych autorów, że okazując nadmiar naiwności mogą zwichnąć sobie literacką karierę. Nie da się rozmawiać ani pracować z wydawcami, którzy nie są w stanie wykrztusić ewangelicznego „tak-tak, nie-nie” – tylko strugają fatamorganę i każą w nią ślepo wierzyć. Natomiast panie Anna i Edyta powinny raczej zająć się hodowlą zwierząt futerkowych, bo to proceder zyskowniejszy, a tresura bardziej przystoi lisom i fretkom, niżli ludziom.

Tym bardziej, jeśli ci ludzie mają ambicję, by napisać COŚ.

Konrad T. Lewandowski

P.S. Właśnie powstało nowe wydawnictwo „Stalowa Twierdza”, które na początek wyda przygodę RGP w świecie kotołaka Ksina i *Mostu nad Otchłanią*, na licencji systemu Dungeons & Dragons. To będzie już siódmy polski wydawca moich książek.

P.P.S. Tak nawiasem, interpunkcja w rytmie oberka to akurat przejaw autorskiej fanaberii żądającej redaktorskiego cięcia, bo kto to zauważy? Ilu kompozytorów muzyki ludowej czyta fantasy?

Pozdrawiam Noworocznie
Przewodas

Odloty Przewodasa:

RUNA POTIOMKINOWSKA



Na Nordconie 2003, podczas spotkania z wydawnictwem „Runa” – pomiędzy mną a Anną Brzezińską (tudzież jej wierną publicznością) doszło do ostrej wymiany zdań. Ponieważ, jak zwykle, najlepsze argumenty przychodzą dopiero na schodach, macie przed sobą ten felieton.

Istotą problemu jest odwieczny konflikt interesów wydawcy i autora. Zazwyczaj ów spór kończy się jakimś obustronnym kompromisem. Ale w przypadku „Runy” w grę wchodzi tylko całkowite podporządkowanie autora. Większość osób obecnych na sali nigdy w życiu książki nie wydała i nie wyda; nie była więc w stanie dostrzec, co w praktyce oznaczają słowa Brzezińskiej, ani też zrozumieć mojego oburzenia.

Zjeżyła mnie mianowicie wizja „Runy” jako wydawnictwa pełnego szczęśliwych, zadbanych debiutantów i autorów, na których niby na rzadkie roślinki chucha i dmucha zespół super profesjonalnych redaktorów, korektorów i konsultantów naukowych. Snując wizję owej idylli – Brzezińska mimochodem rzuciła teksty: „moje pieniądze – moja decyzja”, „nie wydamy nawet dobrego tekstu, jeśli autor jest nastawiony na konfrontację”, „jak się komuś nasze zasady nie podobają, to są jeszcze inne wydawnictwa”, itp.

Faktycznie! Brzezińskiej kasa to Brzezińskiej władza – to jest Brzezińskiej zbójckie prawo! Maniera szalenie nuworyszowska, w stylu Szmidta, ale to pominiemy. Takie życie. Sęk w tym, że nie każdy autor poczytuje sobie za szczyt szczęścia bycie narzędziem czy gliną w ręku wydawcy. Kiedy zaś autor dotyka Absolutu i staje się pisarzem – niezależność okazuje się kwestią kluczową.

Owszem, można sterroryzować debiutanta, który gotów jest zrobić wszystko, by zaistnieć. Można wydłubać z jego dorobku same rodzyнки, wycisnąć świeżość jak sok z cytryny, zrobić z niego/niej gwiazdę jednego-dwóch sezonów, po czym powiedzieć „następny proszę”. Jest jednak jeszcze druga strona medalu. Oprócz prawdy wydawcy istnieje nie mniej realna prawda pisarza. Taka mianowicie, że to pisarz chce i ma prawo kreować swój dorobek oraz wizerunek literacki.

cd str. 23

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

**INFORMATOR
175**

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY : skr. poczt. 76, 80-325 Gdańsk 37

ADRES INTERNETOWY „INFORMATORA”: informator@gkf.art.pl

STRONA GKF: www.gkf.art.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nac.), Michał Szklarski (sekretarz redakcji),

Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski

RYSUNKI: Piotr Terszel (3, 4, 24)

KONTA BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 98-10201853-102332412 } ważne do
10201853-237451-270-1 } czerwca

004

NOWY NUMER KONTA: 80 1020 1853 0000 9902 0009 2072

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów
i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji